Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jeziorko było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną wegetację. Jednakże kiedy szłyśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioletu.

Ojciec umarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obluzowywał, niczym orzech wysychający w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej

policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste, ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

– Jak tu spokojnie – mówiła – tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadka, który umarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

– Umarł nie odzyskawszy przytomności – powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. “Nie pamiętasz? – dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k” – i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego

prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas, co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszły z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: "Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop".

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszyły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porosłe trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

– Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem – mówiła mama. – Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. – Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułką. –

Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca – ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować. Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? – Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką – powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. – Mniejsza o to – zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejącej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć godzinami, wpatrzona w szarzejące okno, szkielet domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

– Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka – powiedziała mama. – Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszłyśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

– Tak ci powiedziała? – zapytałam. – Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

– Tak – odparła mama. – Zaraz po pogrzebie powiedziała: "Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego".

– A coś ty jej odpowiedziała? – spytałam.

– Nic – odrzekła mama przyśpieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz. Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Kochała go bardziej – wyznała wtedy. – Był jej synem. – Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. – Tego nie można odmienić.

***

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, zlani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem

je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam, z poduszką pod plecami, i powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

– To wspaniałe! – pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. – Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapnął zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. “Nie mam gadanego” – mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San

Francisco wezwała go na badania lekarskie. “Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!” – oświadczył unosząc lekko podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, kroczącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizę stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ściskał kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

“Nie chcę wracać do kraju w trumnie – rozumował. – Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem”.

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

– Czerwoną Gwardię? – zapytałam. – Podziwiałeś Czerwoną Gwardię?

– Uważałem, że świat trzeba zmieniać… – zaczął i urwał.

– Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? – zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach, nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

– W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na unwersytecie w Kent.

– A teraz? – zapytałam.

– Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą – odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiekolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na

studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci, mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permisywnych psychedelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyjrzeć przez okno. Działało mi na nerwy to jego wyglądanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

– Żeby im dać szansę w życiu – odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie. – Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supełki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

– To moja wina – powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. -Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego

górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą naczyńka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczcze ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzuszek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick starł palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

***

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u

dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie, pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

– Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. – Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniej niż inne. – Zadzwoń do niej – żądała – zobaczymy, czy rzeczywiście tam jest.

– Dlaczego?

– Dzwoń. Rób, co mówię! – syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

– Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

– Nie, nic takiego – mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem

formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad sercem.

– Zapytaj ją, kiedy wróci – przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

– Kiedy wrócisz? – pytałam potulnie.

– Niedługo – odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. – Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

– Co powiedziała? – dopytywała się babcia. – Co powiedziała?

– Żeby na nią nie czekać z obiadem – odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

– Miejsce żony jest w domu – obwieszczała przy stole – a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

– Wyśmienita zupa, mamo – mówił. – Co za smak.

– Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki – burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. – Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

– Słuchaj babci – wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekłe spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym ucinała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora, żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwoną, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

– Zawsze jej przytakiwałaś – wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: “Uwaga! Spadające kamienie!” Mama oddzieliła

płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół. Pokrywały ją długie linearne wzory.

– Nic szczególnego – powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. – Cefalopody i korale. – Kamień powrócił na usypisko. – Może nie powinnam ci była tego mówić – odezwała się po chwili. – Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcię.

– A jaką chcesz, żebym ją pamiętała? – zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć, ale się myliłam.

– Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady – powiedziała. -Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. – Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: – A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszłyśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake

zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szyk bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

– Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów – powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. – Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

– Znalazłam to w swoich rzeczach – oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. – Ty ją tam położyłaś?

– Dałam ci ją – odparłam. – Nie pamiętasz?

– A, rzeczywiście, dałaś – powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. – Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem

oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

– O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? – spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

– O niczym, kochany – odparłam. – Mama opowiada mi różne stare historie.

– To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

– Fiu! – odpowiadał ze śmiechem. – Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

– Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie – powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: – Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wyłupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydować, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

– Więc za zdrowie pięknych pań! – powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmieszkiem kieliszek. – Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Pierwsza część opowiadania:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.

Spacer nad Credit

River. Część 1.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

– Tuż po pogrzebie – głos mamy brzmiał, jakby mówiła o rzeczy zwyczajnej, wręcz błahej – twoja babcia powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

Schodziłyśmy z mamą wąską, wijącą się ścieżką do Erindale Park. Mama właśnie przyjechała z Polski, miała pobyć z nami dwa, trzy miesiące, ostatnia tak daleka i długa podróż jej życia. Do naszych policzków i ust lepiły się niewidzialne pajęczyny, na cienkich nitkach zwisających z drzew kołysały się małe żółtawe gąsienice. Nigdy nie widziałam ich tyle. Machałam przed sobą ręką, jakbym odganiała komary, ale niewiele to pomagało. Mama przewiązała sobie usta i nos czerwoną chustką, którą jej dałam. Wyglądała jak zamaskowany Indianin z dziennika telewizyjnego, jeden z tych wojowników ze szczepu Mohawk, którzy blokowali drogę do miasteczka Oka w Quebecu.

Wtedy łudziłam się jeszcze, że jesteśmy z Patrickiem szczęśliwi. Budziłam się rano z uczuciem uniesienia, które mnie nie opuszczało przez cały dzień. Wieczorami zapalałam świece i podawałam obiad na miśnieńskiej porcelanie, którą przywieźliśmy z Europy. Patrick otwierał butelkę naszego najlepszego merlota, który mama piła drobnymi, nieuważnymi łyczkami, jakby to była woda. Od pierwszego dnia jej pobytu, gdy oczy kleiły jej się jeszcze po zmianie czasu, snułam plany czekających nas wycieczek. Pokażę jej wszystko, co warte zobaczenia, obiecywałam, a później wynajmiemy domek nad Georgian Bay i będziemy się wszyscy razem cieszyli kolorami jesieni.

– Czy to nie za kosztowne? – zapytała zaciskając wargi w wąską,

cienką linię i rzucając mi niespokojne spojrzenie.

– Czy to ważne? – odparłam. – Możemy sobie na to pozwolić.

W tym czasie Patrick nosił jeszcze brodę, gęstą, rudawą, zgrabnie przystrzyżoną, jej włoski sprężynowały pod moim dotykiem, powracały do pierwotnego kształtu jak gąbka. Poczułam, jak jego stopa przesuwa się pod stołem po mojej łydce. Mama nie spuszczała ze mnie oczu, wprawiało mnie to w zakłopotanie. Nie chciałam, żeby się czuła u nas nieswojo, miała wrażenie, że nam zawadza. Odepchnęłam jego stopę i przestał.

***

Mama była paleontologiem. Przez czterdzieści lat badała skamieliny ryb, ciemnobrązowe szkielety uwięzione w zwartych warstwach karpackich łupków. Ojciec powiedział mi kiedyś, że z tych skamielin potrafi ona określić głębokość pradawnych mórz, skład ich wód, rodzaj prądów i pokładów geologicznych na ich dnie. Co lato wyjeżdżaliśmy wszyscy do podkarpackich wiosek z ich wozami konnymi, cuchnącymi wygódkami i kopcącymi lampami naftowymi. Od miejscowych chłopów wynajmowaliśmy pobielane izby, w których nad chwiejnymi łóżkami z siennikami wypchanymi słomą wisiały obrazy Chrystusa z obnażonym gorejącym sercem.

Codziennie rano mama, tato i kilkoro studentów, którzy z nami przyjeżdżali, szliśmy na odkrywki. Co roku obiecywałam sobie, że się do tego zapalę, i przez pierwsze kilka dni łupałam warstwy skalne z nadzieją, że odkryję jakiś rzadki okaz, coś, czego mama nie odrzuci za jednym rzutem oka jako "zwykłego śledzia". Ale mój entuzjazm gasł szybko. Gryzły mnie owady, woda w potokach była za płytka do pływania, a mama nie miała czasu na zabawy, odbijała płatami warstwy łupka, rozdzielała je niecierpliwie i odrzucała puste na rosnącą kupę. Zostawałam więc z babcią we wsi. Próbowałam się bawić z wiejskimi dziećmi, ale te miały swoje obowiązki i śmiały się z mojej mowy.

– Co twoja matka tam kopie? – chciały wiedzieć. – Złota szuka?

– Nie – mówiłam żałując, że tego nie robi, pragnąc, żeby robiła cokolwiek, co bym mogła wytłumaczyć.

***

– Nazywają się *gypsy moth* – wyjaśniałam mamie. Nie znałam ich polskiej nazwy, nie znałam też łacińskiej, którą mama by pewnie rozpoznała. – Są w tym roku plagą w całym Ontario.

Wielkie dęby, które mijaliśmy koło ścieżki schodzącej do rzeki, utraciły prawie wszystkie liście. Był dopiero koniec lipca, a całą ziemię zaścielały półzeschłe płatki i gołe łodyżki, szkielety liści,

zielonkawe, pajęczo cienkie.

– Mam nadzieję, że dęby nie uschną – powiedziałam.

Mama wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że nie uschną – odparła. – To dla nich nie koniec świata.

***

Patricka poznałam krótkie parę miesięcy wcześniej, w grudniu 1989, na przyjęciu u znajomych. Właśnie zostałam zwolniona z pracy, a miałam już trzydzieści osiem lat. Był to okres, kiedy pierwsza fala cięć budżetowych dotknęła ontaryjskie uczelnie. Uczyłam nowych imigrantów angielskiego, dopóki pewnego dnia nie zredukowano pięciorga z nas.

Powinnam była wiedzieć, co się szykuje, ale nie wiedziałam. Lubiłam swoją pracę, byłam w niej dobra. Studenci mnie chwalili. Telefon zadzwonił o siódmej rano, parę minut przed moim wyjściem na zajęcia o ósmej. Ktoś z Działu Personalnego, osoba, z którą nidgy dotąd nie miałam do czynienia, zawiadomił mnie, że mam przyjść o czwartej na zebranie.

– Jakie zebranie? – zapytałam. – O co chodzi?

– Tego nie mogę pani powiedzieć – odrzekła kobieta. – Przykro mi, ale takie zarządzenie. Nie wolno mi więcej mówić.

W college'u szef nie chciał się ze mną zobaczyć. Sekretarka powiedziała mi, że jest zbyt zajęty. Mam poczekać do zebrania, to się wszystkiego dowiem. Czułam, że nie może to być dobra wiadomość, ale miałam jeszcze nadzieję.

– Może chcą cię awansować – szepnęła mi z uśmiechem przyjaciółka.

O czwartej nie pozostał mi już cień nadziei. Szef unikał mego wzroku, wręczając mi białą kopertę z moim nazwiskiem.

– Nie jest to sprawa pani kwalifikacji – powiedziała słodziutkim głosem personalna – ani wyników pani nauczania. Decyduje niewielka wysługa lat.

W kopercie, oprócz zawiadomienia o zwolnieniu, były dwie broszury. "Poradnictwo i usługi prawne dla pracowników wyższych uczelni" – głosiła czerwonymi literami jedna z nich. "Jak sobie radzić w kryzysach życiowych" – doradzała druga.

W Polsce mówiliśmy, że nieszczęścia chodzą parami. Parę dni później w kieszeni marynarki mego przyjaciela znalazłam pomiętą kartkę z nazwiskiem i telefonem kobiety. Wykręciłam

numer.

„Cześć! Tu Catherine. Wiecie, jak nie lubię, kiedy mi coś przelatuje koło nosa. Dotyczy to i waszego telefonu. Zostawcie wiadomość albo zadzwońcie jeszcze raz”.

Młody, jędrny głos kobiecy. Prężny, pomyślałam, pewny siebie. Wyobraziłam sobie jej smukłe kształty opięte lykrą, długie kasztanowe włosy. Kasztanowe włosy wzięły się z reklamy w *New Yorkerze*, którą dzwoniąc widziałam kątem oka: młoda kobieta w czarnej sukience bez rękawów, z wężowym uśmieszkiem triumfu na wargach, zaciąga się cygarem. Z ciemności w tle dochodzi męski głos: “Agnes, nie widziałaś moich Don Diegos?”

Kiedy go poznałam, Patrick miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w klapie wpięty emblemat liścia klonowego. Zapach wody kolońskiej otaczał go ostrą piżmową tarczą. Przedstawił się jako konsultant do spraw systemów ochrony środowiska, z ramienia rządu sprzedający technologię kanadyjską do Chin.

– I podoba się panu ta praca? – spytałam.

– Cóż, praca jak praca – odparł przyglądając się z uśmiechem, jak cedzę wino. – Nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię. Poza tym nieźle mi idzie. A pani?

Opowiedziałam mu o Polsce. Kiedy z niej wyjeżdżałam w 1982 roku, sklepy były puste, po Warszawie jeździły czołgi, żołnierze czaili się na rogach ulic.

– Ale to już melodia przeszłości, nie? Co pani robi t e r a z?

Rzucił to pytanie z lekkim półuśmieszkiem na twarzy, tym uśmieszkiem filuternego chłopca, jakiemu najtrudniej się oprzeć. To jego t e r a z wprawiło mnie w zakłopotanie. Powiedziałam, że padłam ofiarą redukcji w college'u, ale udało mi się zdobyć parę kursów tu i tam. Robię przekłady, tłumaczę w Departamencie Imigracji. Co się trafi.

– Marnuje pani czas, Yvonne – orzekł.

Już wtedy mi się podobał. Pamiętam, jak patrzyłam na jego dłoń, w której trzymał szklaneczkę whisky, na kształt jego paznokci z wymownymi śladami skaleczeń. Biała nasada paznokcia palca wskazującego wżerała się głęboko w ciało; widać odcięta kiedyś, nie zrosła się nigdy właściwie. To ręce mężczyzny, który się nie oszczędza, pomyślałam, który potrafi zrobić wszystko.

– Jest pani za dobra na takie bzdety – powiedział patrząc mi prosto w oczy, a skóra jego twarzy napięła się i poróżowiała.

Siedzieliśmy od dłuższego czasu na wysokich stołkach barowych,

zaczynały mnie od tego boleć plecy. Pokręciłam szyją, żeby zmniejszyć trochę napięcie mięśni, ale niewiele to pomogło. Oparłam się na łokciu, popatrzyłam na Patricka z ukosa.

– Rynek azjatycki jest przereklamowany, ślepa uliczka, tak ja to widzę. Europa to co innego -mówił – najwyższa pora, żebyśmy się tam załapali.

Święta racja, myślałam. Kiedyśmy to mówili, kruszono betonowe płyty muru berlińskiego, łupano je na pamiątkowe kamyki. Polska przeobrażała się szybko w kwitnący rynek, krainę wielkich możliwości, z giełdą, McDonaldami, pizzeriami, Marriottem i lalkami Barbie o szeroko rozwartych oczach i twardych, spiczastych piersiach.

Kiedy pojechałam do Warszawy na pogrzeb ojca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Partyjne slogany głoszące wieczną przyjaźń Polski ze Związkiem Radzieckim zostały zastąpione kolorowymi billboardami. Chodniki były zastawione improwizowanymi stoiskami. Cokolwiek się nadawało, stoliki ogrodowe czy łóżka polowe, służyło za punkty sprzedaży ze zręcznie ustawionymi piramidami papierosów malboro, camel, rothmans. Niektóre oferowały francuskie perfumy, niemieckie mydła, wielkie plastykowe butelki szamponu.

– Koniec z kolejkami – powiedziała mama. – Mogę kupić szynkę,

kiedy chcę. Starczy dla każdego. Więc dlaczego musieliśmy się uganiać za wszystkim przez tyle lat?

Siedziałyśmy w nowo otwartej restauracji na Nowym Świecie, mama w swojej czarnej sukni wydawała się taka drobna, jakby głowę zaprzątała jej tylko myśl, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Czekałam, kiedy zacznie mówić o ojcu, ale nie zaczynała. A ja nie przynaglałam.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła do mnie wskazując brodą młodą kobietę w dżinsach, która się sadowiła przy sąsiednim stoliku. – To zgubne dla populacji. – Chodziło jej o obcisłość dżinsów, sposób, w jaki elestyczny materiał przylega do ciała. Wyliczała swoje obiekcje: utrudnia to krążenie krwi, drażni skórę, powoduje infekcje. – I to młode kobiety – dowodziła – w wieku, w którym powinny rodzić.

Pokręciła głową w ten swój komiczny sposób, którego nie znoszę, drobnymi ptasimi ruchami dezaprobaty.

– Może ona wcale nie chce mieć dzieci – powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, teraz ani nigdy, wytykać jej, że się zawsze troszczy o "populację", a nie po prostu o ludzi. Kiedy byłam mała, starałam się wyobrazić sobie te

pokolenia, o których tak często mówiła, te “banki genów dziesiątkowane przez wojny i powstania”, milczące szare armie mamy, sunące z mozołem przez czas.

– To nie tylko ona, wszystkie to noszą – powiedziała z niedowierzaniem mama, nie pojmując, jak mogę się z nią nie zgadzać.- Chodzi o zdrowie narodu, więc jak możesz coś podobnego mówić.

Zaraz po przyjęciu Partick zaprosił mnie na kolację. Niedaleko stąd jest mała grecka restauracja, Il Paradiso, z gipsowymi kopiami starożytnych rzeźb i winoroślą z jedwabiu rozpięta na jońskich kolumnach. To tam Patrick mi powiedział, że ma dostateczne znajomości w sektorze ochrony środowiska, żeby otworzyć właściwe drzwi w Ottawie. Mogłabym wykorzystać kontakty rodziców w Warszawie, dowodził. Pośredniczyć i tłumaczyć.

– Zarobisz więcej przez rok niż ten dupek, który cię wyrzucił, zarobi przez dziesięć – powiedział ze śmiechem i wypiliśmy za to.

Miał rację. W ciągu trzech miesięcy skompletowaliśmy zespół polskich chemików do produkcji żywic jonowymiennych oczyszczających ścieki przemysłowe. Żywica, tłumaczył Patrick, pochłania jony miedzi, srebra i metali ciężkich, wyzwalając w ich miejsce jony obojętne. W ciągu niewielu godzin jest w stanie

przemienić hektolitry trujących ścieków w nieszkodliwą ciecz.

Jedyny problem stanowiło to, że synteza tych żywic wymaga użycia substancji freonopodobnych, a to naprawdę "śmierdząca sprawa", jak to określił Patrick. Jednym ze sposobów wytwarzania takich reagentów jest produkcja w hermetycznych pomieszczeniach, to jednak byłoby zbyt kosztowne i trudne do zagwarantowania. Innym sposobem byłoby przeniesienie brudnej fazy produkcji na Ukrainę, gdzie przepisy ochrony środowiska są znacznie bardziej liberalne.

– Tam to jest całkowiecie legalne – powiedział Patrick, kiedy się zawahałam. – To kwestia wyboru, Yvonne. Co jest bardziej szkodliwe, nieuzdatnione ścieki spuszczane do waszych rzek czy kilka ewentualnych wycieków i emisji setki kilometrów dalej?

Nie chcę tu zanudzać szczegółami handlowymi, ale faktem jest, że otworzywszy fabrykę w Polsce, byliśmy wkrótce w stanie wytwarzać żywicę taniej niż zakłady Dow Chemicals. "Niczego sobie"- entuzjazmował się Patrick z szerokim uśmiechem. Miał na pieńku z zakładami Dow z dawnych lat, kiedy się dekował przed poborem.

W ciągu roku pozyskaliśmy nabywców w Niemczech i Stanach- zupełnie nieźle jak na początek.

Piliśmy pod ten sukces w klubie Panorama na czterdziestym piętrze hotelu Marriott w Warszawie, skąd nawet Pałac Kultury i Nauki, ten “dar” Stalina dla niegdyś zniewolonego miasta, wyglądał jak nędzna szara zabawka.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Druga część opowiadania Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” ukaże się we wtorek, 13 sierpnia 2019 r.

Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.



Sławomir Mrożek, fot. materiały prasowe.

Anna Maria Mickiewicz *(Londyn)*

Co myślał o swej twórczości i bohaterach sam Mistrz? Oto krótka rozmowa, którą przeprowadziłam tuż po premierze *Letniego dnia* w jednym z londyńskich teatrów. Powinnam dodać, że Sławomir Mrożek niechętnie udzielał wywiadów. Jeżeli do nich dochodziło, stawał się powściągliwy i milczący… Dlatego na spotkanie z dramaturgiem podążałam z dużym zaciekawieniem i niepewnością zarazem… Było to swoiste wyzwanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły, słoneczny i wiosenny. Umówiona byłam w godzinach przedpołudniowych w znanej londyńskiej dzielnicy Belgravia, przy Sloane Square. Tuż przy głównym skwerze, wśród licznych kafejek, widniał zabytkowy gmach słynnego teatru The Royal Court Theatre. Po latach został unowocześniony; już z oddali odbijała się w promieniach słońca czerwona płaskorzeźba, znajdująca się na pierwszym piętrze teatru – *notabene* wykonana przez polskiego artystę Antoniego Malinowskiego.

Sławomir Mrożek czekał na mnie w teatralnej kawiarni, usytuowanej w podziemiach. Panowała cisza, twórca był jakby osnuty półmrokiem… To chwile, kiedy teatry drzemią, wypoczywają po wieczornych wydarzeniach. Dramaturg ze spokojem popijał kawę. W takim nastroju, swoistej przychylności, przebiegała nasza rozmowa…

Anna Maria Mickiewicz:

Czy czuje się Pan czasami jak jeden z bohaterów *Letniego dnia*?

Sławomir Mrożek:

Nie, nigdy, dlatego że pisanie sztuki czy wierszy, powieści to nie jest nigdy autobiografia. Składa się może z elementów autobiograficznych, ale nie jest tak, by pisarz w powieści, czy w swych dziełach opisywał siebie.

Czy *Letni dzień* nie zawiera żadnych wątków autobiograficznych? A jest to sztuka, która w dużym stopniu poświęcona jest anatomii dojrzewania mężczyzny…

No, może częściowo jest…, ale w taki rozproszony sposób i nie ma potrzeby tego udowadniać.

Natomiast bohaterka dramatu to osoba bardzo inteligentna, przewrotna, bystra. Czy tak Pan widzi kobiety?

Należy pamiętać, że żaden utwór literacki nie jest pamiętnikiem ani świadectwem, ani wyznaniem wiary autora. Kobiety inteligentne istnieją – na szczęście. Zwracano już uwagę na to, że

bohaterka tej sztuki jest kobietą ciekawą, nieprzeciętną. Dlatego też ta postać budzi sympatię zarówno widowni, jak i aktorek, które były zawsze zainteresowane graniem tej roli.

Nasuwa się spostrzeżenie; otóż jeden z bohaterów Pańskiej sztuki przypomina bohatera *Fausta* Goethego – odnoszącego sukces, lecz nieodczuwającego życiowej satysfakcji. Czy jest to zbieżność przypadkowa?

Ja nie zajmowałem się określaniem bohatera, jego charakterem, życiorysem. Budowałem sytuację dramatyczną na scenie, czyli taką, w której coś się dzieje i z której coś wynika. Dlatego potrzebne były mi dwie kontrastowe postacie. Jest to może bardzo schematyczne, ale skuteczne, bo pozwoliło mi napisać sztukę, która funkcjonuje dobrze na scenie. Nie jest to duża sztuka, ale dobre i to.

Czy angielska wersja teatralna *Letniego dnia* sprawiła Panu satysfakcję i zadowolenie?

Każde przedstawienie mojej sztuki sprawia, że czuję się dobrze… Nie dlatego, że jestem autorem, tylko dlatego, że po prostu lubię teatr. Jeżeli zdarza się, że jestem autorem danej sztuki, tym lepiej.

Czy wczorajszy spektakl miał jakieś szczególne cechy, a

może jakieś braki?

Trudno powiedzieć. Jeżeli teatr jest poniżej pewnego poziomu technicznego, zawodowego, to zapewne tak jest. Ale nie w tym przypadku. Każde przedstawienie jest inne. W danym kraju, mieście, ta sama sztuka może mieć różne interpretacje. Nawet grana w tym samym teatrze – każdego wieczoru jest inna. Dlatego teatr jest żywy, przedstawienie jest faktem teatralnym, dlatego trudno jest rozmawiać o jego niedostatkach.

Pańska sztuka jest bliska mentalności brytyjskiej, dużo w niej logicznej gry słów z wieloma podtekstami; uderza mówienie o smutnych rzeczach z humorem.

To nie musi być tylko brytyjskie, to może też być czeskie. To swego rodzaju skłonność do niedopowiedzenia – *understatement*, które jest rzeczywiście również cechą brytyjską.

Jaki powinien być teatr – smutny czy wesoły?

Teatr powinien być taki, aby publiczność nie wyszła z sali po pierwszych pięciu minutach. Jak się to uda, to już jest dobrze. Dlatego uważam, że teatr powinien bawić publiczność.

W latach sześćdziesiątych Pańskie sztuki budziły zaciekawienie wśród publiczności polskiej. Jednak wówczas

nie zawsze były rozumiane, sprawiały wrażenie dziwnych.

Na pewno te same sztuki nie budzą już dzisiaj zdziwienia, ponieważ pojawiły się nowe sposoby przedstawiania dramatu, które są jeszcze bardziej dziwne. Nie sądzę, by na przykład *Szczęśliwe wydarzenie* prowokowało dzisiaj podobną reakcję, jak trzydzieści lat temu. Z drugiej strony, nie wiem, jak było wówczas, gdyż nie byłem obecny w kraju przez ponad trzydzieści lat. Dlatego też trudno mi powiedzieć.

Kontynuując wątek. Pańskie dramaty są bardzo przewrotne. To swoista zabawa słowem…

Dlaczego przewrotne?

Dlatego, że z jednej strony dialog opiera się na humorze, z drugiej jednak istnieje warstwa dramatyczna, zawierająca wiele prawd metafizycznych, bardzo smutnych.

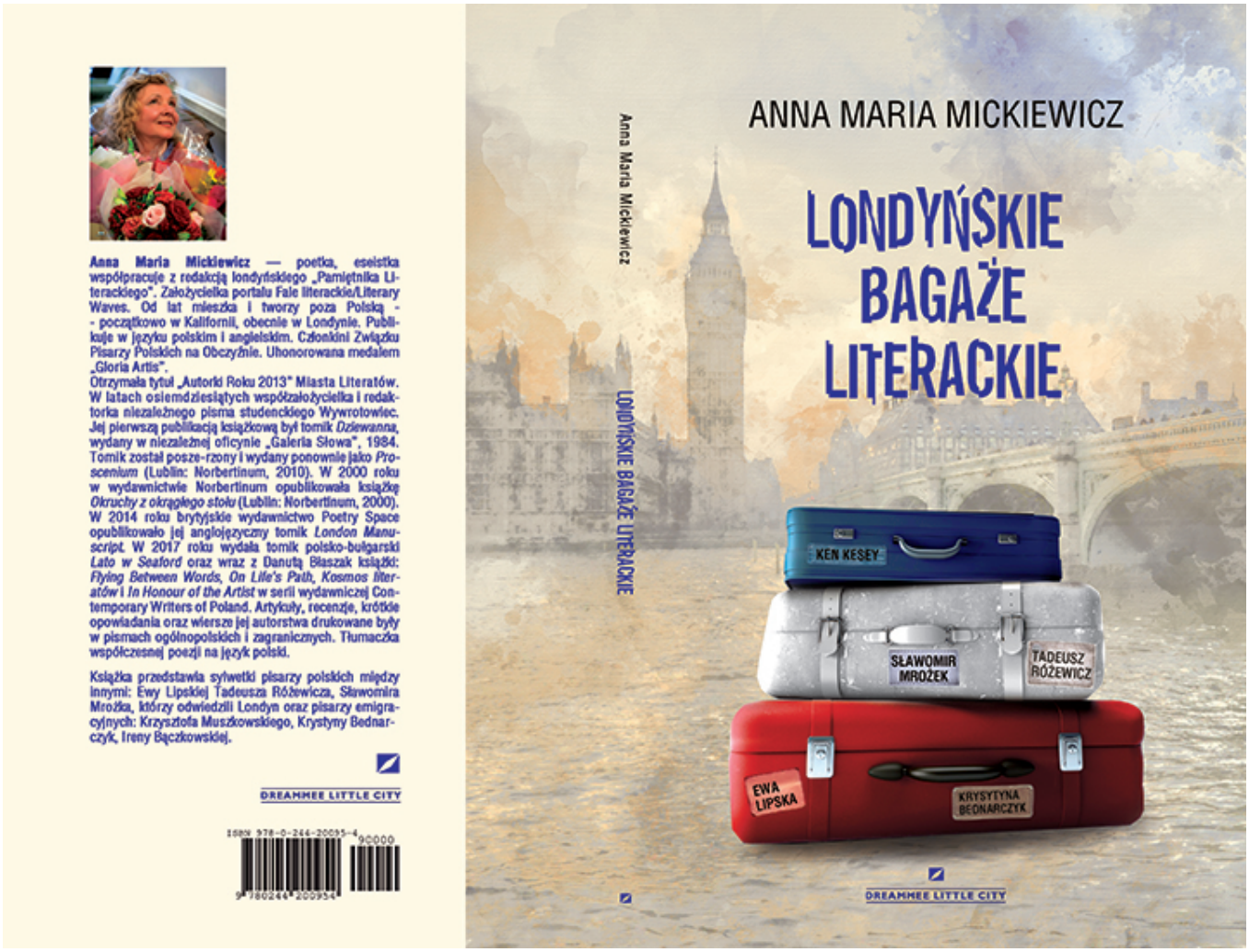
Tego nie nazwałbym przewrotnością, tylko umiejętnością przyciągania i zatrzymywania widza. Jeżeli widz czuje się zaciekawiony, to nie wyjdzie z teatru, zanim sztuka się nie skończy, po drodze można mu powiedzieć jeszcze coś poważniejszego. Sposobem na widza jest zabawa.

Bardzo często życie pr**zedstawia Pan jako formę**

więzienia…

To nie jest tylko w mojej twórczości. Na tym polega życie, że są ograniczenia. Gdyby ich nie było, to by nie było życia i nas też. Jednocześnie na to narzekamy, bo chcielibyśmy być absolutnie wolni. Natomiast absolutna wolność oznacza śmierć… Przestajemy podlegać prawu ciążenia, natychmiast się ulatniamy w kosmos i nas nie ma. Zarówno mnie nie ma, i pani nie ma. Wszystko się odrywa od ziemi i znika. Dlatego nie należy narzekać na jakiekolwiek ograniczenia.

Londyn, marzec 2000 r.



Wywiad ze Sławomirem Mrożkiem to fragment książki, Anny Marii Mickiewicz „Londyńskie bagaże literackie", która właśnie się ukazała. Materiały poświęcone są przede wszystkim pisarzom polskim, którzy zaistnieli w polskiej i międzynarodowej przestrzeni kulturalnej, których autorka miała okazję spotkać poza granicami kraju. Oprócz Sąłwomira Mrożka należą do tego grona Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Muszkowski, Krystyna Bednarczyk. To swoisty pamiętnik.

Książkę można kupić:

http://www.lulu.com/shop/anna-maria-mickiewicz/londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie/paperback/product-24179769.html

http://www.norbertinum.pl/ksiazka/717/Londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie?fbclid=IwAR2J-0grjcLD6LpS_6E5xz8RRBEouKQ06_sGLJjboOt4DigmGgAJmn7atvM



Anna Maria Mickiewicz z książką

Portugalia na Sri Lance 2009 (Galle i Negombo) oraz w Kenii 2012 (Mombasa).



Rybacy na szczudłach tuż przed miastem Galle.

Zygmunt Wojski *(Wrocław)*

Zatrzymujemy się przy małej, uroczej plaży na samym południu wyspy. Ocean tworzy tu zatoczkę w kształcie podkowy, a nad plażą pochylają się nisko trzy wygięte palmy kokosowe. Idylla! Ale morze dość rozfalowane. Nieco dalej, postój przy pozujących rybakach „na szczudłach”. Wbite w dno morskie długie pale z miejscem siedzącym dla rybaka pozwalają łowić ryby z tej wysokości nad mocno wzburzonym morzem. Kawałek dalej ci rybacy już nie pozują, lecz zajęci są połowem i tu robię trzy

udane zdjęcia.

Ostatni punkt całego objazdu wyspy to miasto **Galle**. Ogromnie ciekawy jest stary portugalski fort, bardzo obszerny, o niskich murach i narożnych bastionach. Mury fortecy zostały podwyższone potem przez Holendrów, którzy wykorzystali całą portugalską dawną strukturę. Wewnątrz murów stare, bardzo malownicze uliczki, biały, neorenesansowy meczet przypominający swym kształtem portugalskie kościoły (pewno wykorzystano jego oryginalne mury) i latarnia morska. Po drugiej stronie obszernej zatoki bieleje wśród zieleni wielka buddyjska stupa. Bacznie przyglądam się domkom krytym okrągłą portugalską dachówką i choć teraz to siedziby stowarzyszeń muzułmańskich, nadal zachowują portugalski charakter. Wdzięku dodają im powyginane, wysmukłe palmy kokosowe. Pod murem fortu mała dwukółka i zaprzężony do niej młody byczek rasy zebu.



Galle. Dawny kościół portugalski, obecnie meczet.



Galle. Fort portugalski.

Gdy podjeżdżamy autokarem w stronę kościoła ewangelickiego, otwiera się duży centralny plac ocieniony przepięknie ukształtowanymi gałęziami rozłożystych samanów. Ujrzawszy tę nadzwyczajną koronkę „wyhaftowaną" misternie ponad dachami domów, postanawiam tam zostać, by napatrzeć się do woli na te urocze zakątki. Wrócę do autokaru „tuk-tukiem" za 2 dolary. Umawiam się z jego właścicielem, który niecierpliwie krąży koło mnie w jedną i w drugą stronę. Tu jakiś stary dom ozdobiony barokowymi wazami, tam długi budynek wsparty na masywnych, okrągłych kolumnach, inny, jeszcze dłuższy, o półokrągłych oknach pod samym dachem i wiekowych przyporach. Nad wejściem do jednego z tych budynków herb holenderskiej

Kompanii Wschodnioindyjskiej z roku 1669: dwa lwy po bokach trzymają kartusz. Wreszcie centralny, przestronny plac i samany. Na gałęzi jednego z nich cały gąszcz paproci. Obok obsypane białymi kwiatami duże drzewa frangipani. Nareszcie te białe kwiaty wychodzą w miarę ostro. Koronkowe gałęzie samanów także. Obok długiego budynku pod arkadami, ozdobionego starymi latarniami, dochodzę do Muzeum Historycznego mieszczącego się w starej, kolonialnej rezydencji, a potem do meczetu. Ponownie przekonuję się, jak bardzo oryginalna to budowla także wewnątrz. Błyskawicznie dojeżdżam „tuk-tukiem” do autokaru.



Galle. Główny plac w miasteczku.



Galle. Muzeum Morskie.

Obecność portugalska na **Cejlonie** trwała krótko, zaledwie sto pięćdziesiąt lat. Portugalczycy zainteresowani byli głównie eksportem cynamonu, którego Cejlon był jedynym producentem. Zdążyli jednak zbudować kilka fortów. Poza **Galle** także w stolicy wyspy, **Colombo** i 40 km na północ od stolicy, w **Negombo** oraz w kilku innych miejscach. W roku 1640 pojawili się już Holendrzy i to oni na ponad sto kolejnych lat stali się panami wyspy. Udało mi się znaleźć holenderski plan fortu w **Negombo** z roku 1640. Myślę, że oddaje on dość wiernie jego portugalską strukturę. Wpływy portugalskie są do dziś widoczne w

architekturze kościołów katolickich, a także w nazwiskach i w miejscowym języku usianym zapożyczeniami z języka portugalskiego.



Portugalski, a potem holenderski fort Negombo. Plan z roku 1665 (40 km na północ od Colombo).

Portugalia w Kenii 2012 (Mombasa)

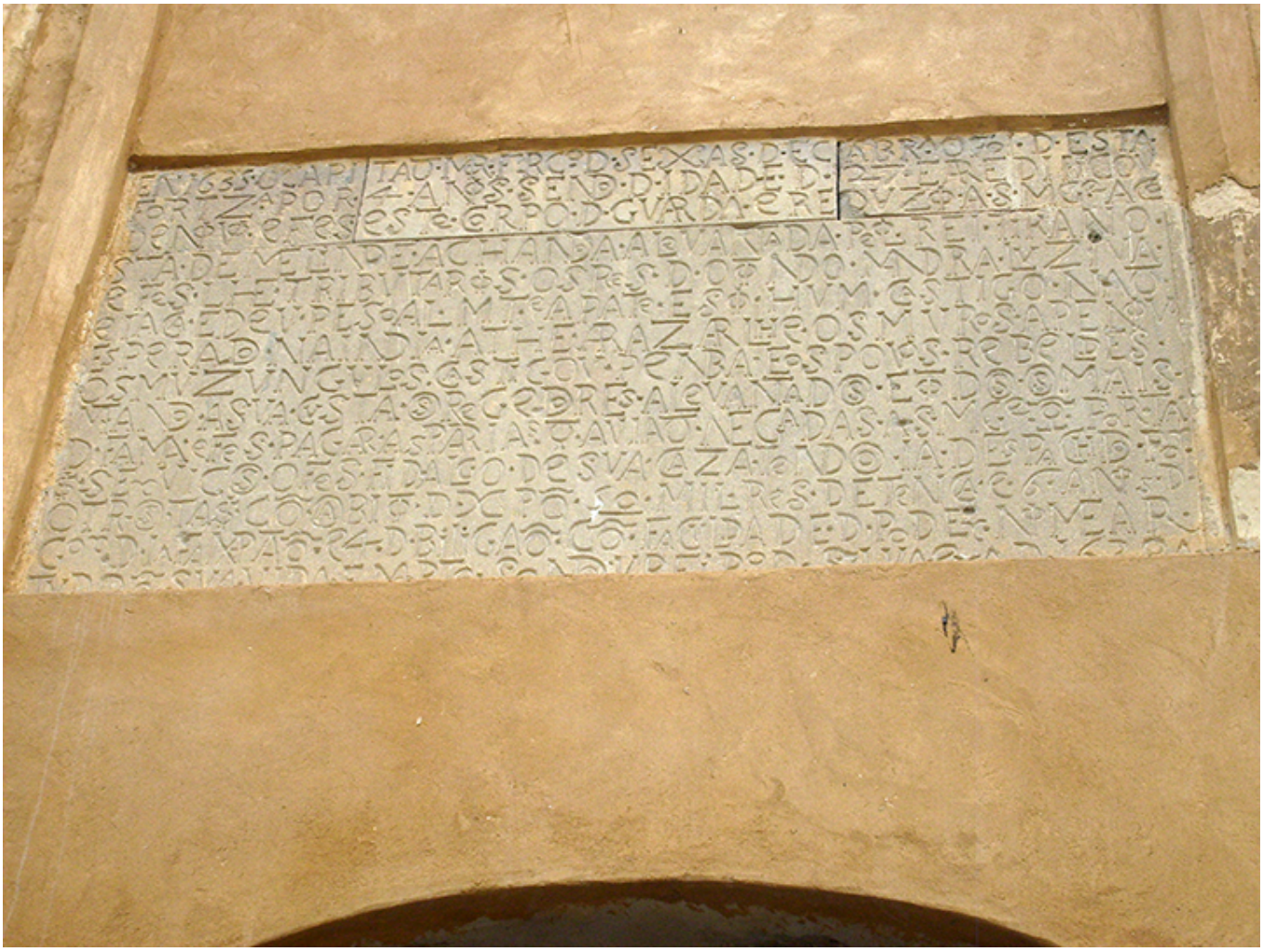
2 stycznia 2012 roku o godzinie 8.20 wyjazd z hotelu położonego nad Oceanem Indyjskim na wycieczkę do Mombasy. Przeciskamy się zatłoczonymi ulicami i pierwszy postój na placu

przed portugalską fortecą „Jezus” z 1593. Na ścianie tablica ku czci polskich rodzin osiadłych tutaj w latach 1942-1947, a nad wejściem do fortecy następujący siedemnastowieczny tekst wyryty w języku portugalskim:

> En 1635 o capitão mor Francisco de Seixas de Eça Brandão foi de esta fortaleza por 4 anos sendo de idade de 27 e a reedificou de novo e fes este corpo de guarda e reduzio a sua magestade a costa de Melinde achando a alevantada pelo rei tirano e fes lhe tributarios os reis de Otondo Mandra Luziva e Iaca e deu pessoalmente a pate e soi hum castigo não esperado na Índia athe arrazar lhe os muros apenou os Muzungulos castigou Penba e os povos rebeldes matando a sua custa os regedores alevantados e todos os mais de fama e fes pagar as parias que avião negadas a sua magestade que por tais serviços o fes fidalgo de sua caza tendo já despachado por otros tais com o ábito de xpõ (Cristo) 50 mil reis de tença e 6 anos de governador de Iafa xpão (cristão) e 4 de Biligão com faculdade de poder nomear tudo em sua vida. Anno Domini 1638 anos.

A teraz moje tłumaczenie na język polski:

W roku 1635 major Francisco de Seixas de Eça Brandão dowodził tą fortecą w wieku 27 lat. Odbudował ją na nowo i stworzył pułk gwardii. Roztoczył swoją władzę nad wybrzeżem Malindi, gdyż zbuntowało się ono na skutek intryg króla tyrana. Zmusił do płacenia lenna królów Otonda – Mandrę Luzivę i Jakę i osobiście wymierzył niespodziewaną karę w Indiach równając z ziemią mury obronne. Ukarał Muzungulów, Penbę i zbuntowane ludy, zabijając zbuntowanych przywódców i wszystkich pozostałych znanych z imienia. Zmusił ich do płacenia lenna, którego przedtem nie chcieli płacić Jego Wysokości królowi Portugalii. Król Portugalii, w dowód uznania za te usługi, uczynił go szlachcicem na swoim dworze, wysyłając mu 50 tysięcy reali pensji i nadając na okres 6 lat tytuł gubernatora Jaffy i na okres 4 lat gubernatora Biliganu oraz przyznając mu dożywotnią władzę do mianowania swych podwładnych na wszystkie możliwe funkcje. W Roku Pańskim 1638.



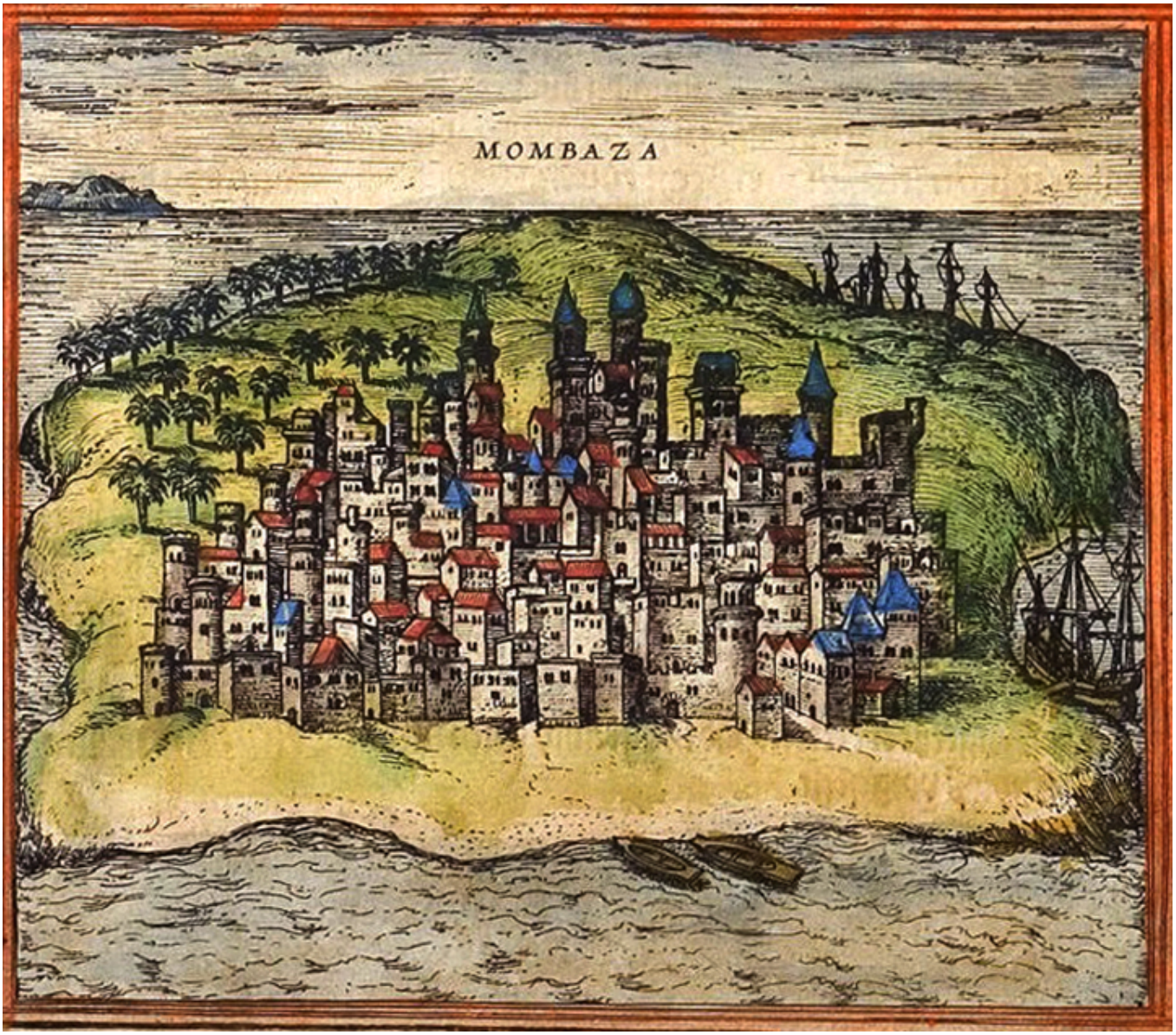
Napis z XVII wieku nad wejściem do Fortu Jezusa w Mombasie.

Jak wszystkie fortece portugalskie z tego okresu tak i ta jest niska i bardzo rozległa, zbudowana na planie wieloboku w kształcie gwiazdy, mury zwieńczone blankami, a na rogach baszty. Pośrodku zachowała się dolna część kościoła. Przez okna, w których stoją działa, widać w morzu dwa kamienne słupy oznaczające wejście do portu: jeden portugalski, a drugi brytyjski. We wnętrzu funkcjonuje muzeum, w którym, między innymi, fotel w stylu indo-portugalskim i wielkie afrykańskie bębny. W innym pomieszczeniu na ścianie niezwykle ciekawe rysunki wykonane przez Portugalczyków. Widzimy na nich

wielkie żaglowce, uzbrojonych w szable Portugalczyków oraz Arabów strzelających do nich z łuków, ryby, karabele. Na środku dziedzińca niska, ale obsypana gęsto wielkimi czerwonymi kwiatami akacja tropikalna („płomień lasu”). Wreszcie mam okazję sfotografować te kwiaty z bliska. Cudo!!!



Forteca w Mombasie.



Mombasa na dawnym sztychu.



Fort Jezusa. Rysunki na ścianach.

Od momentu przejęcia fortecy przez Arabów w 1698 roku zaczął się ich wpływ w miejscowej sztuce i w wieku XVIII zdobili miasto i fortecę pięknie rzeźbionymi w drewnie i zdobionymi cytatami z Koranu drzwiami. Takie drzwi zachowały się na terenie fortecy, a na sąsiednim Starym Mieście stanowią jego najcenniejszą ozdobę. Widać w ich rysunku także wpływy indyjskie. Mimo, że Stare Miasto jest obecnie dość zaniedbane, niewątpliwie warto je zwiedzić głównie dla tych bogato rzeźbionych drzwi. W dekoracji przeważają elementy roślinne: kwiaty, piękne esy-floresy i na

środku cytat z Koranu. Wychylamy się ku morzu w starym porcie **Mombasa**. Słońce piecze nieznośnie. Sklepy z interesującymi maskami, skromniutki meczet, stare hotele i znakomity punkt widokowy na portugalską fortecę. To stąd widać ją najlepiej. Potem świątynia hinduistyczna zbudowana w latach 50-tych XX wieku. Dla kogoś, kto nie był w Indiach, czy na **Sri Lance**, jest to niewątpliwie ciekawostka. Ładnie prezentują się zwieńczone kopułkami kaplice na skraju dziedzińca.



Fort Jezusa. Mombasa.



Fort Jezusa. Mombasa.



Fort Jezusa. Mombasa.

Gdy chodzi o ślady portugalskie w okolicy to na północ od **Mombasy**, na wybrzeżu **Oceanu Indyjskiego**, jest kolejna dawna forteca portugalska, **Malindi** (po portugalsku Melinde), oddalona o 119 km od **Mombasy**. W materiałach portugalskich odnalazłem informację, że w roku 1500 Portugalia założyła tam faktorię handlową. Niestety, nie udało mi się tam dotrzeć.

Fotografie autora oraz z serwisów Flickr i Pinterest

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów. Ukazują się w drugi czwartek miesiąca.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją magazynu „Culture Avenue”.

Galeria



Galle. Widok ogólny.



Kościół Matki Boskiej w Negombo (Sri Lanka),



Sri Lanka. Plaża przed miasteczkiem Galle.



Autor na tle portugalskiego Fortu Jezusa w Mombasie.



Zabudowania wewnętrzne portugalskiego foru Jezusa w Mombasie.



Fotel indo-portugalski w muzeum Fortu w Mombasie.

Poprzednia część „Dziennika z podróży”:

https://www.cultureave.com/portugalia-w-indiach-goa-2007-2008/

Polskie gobelinistki w Kanadzie



Jolanta Owidzka z córką Joanną Owidzką, także artystką tkaniny. Na ścianie gobelin Jolanty Owidzkiej „Komponowanie materii czasu”. Warszawa, lipiec 2019 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

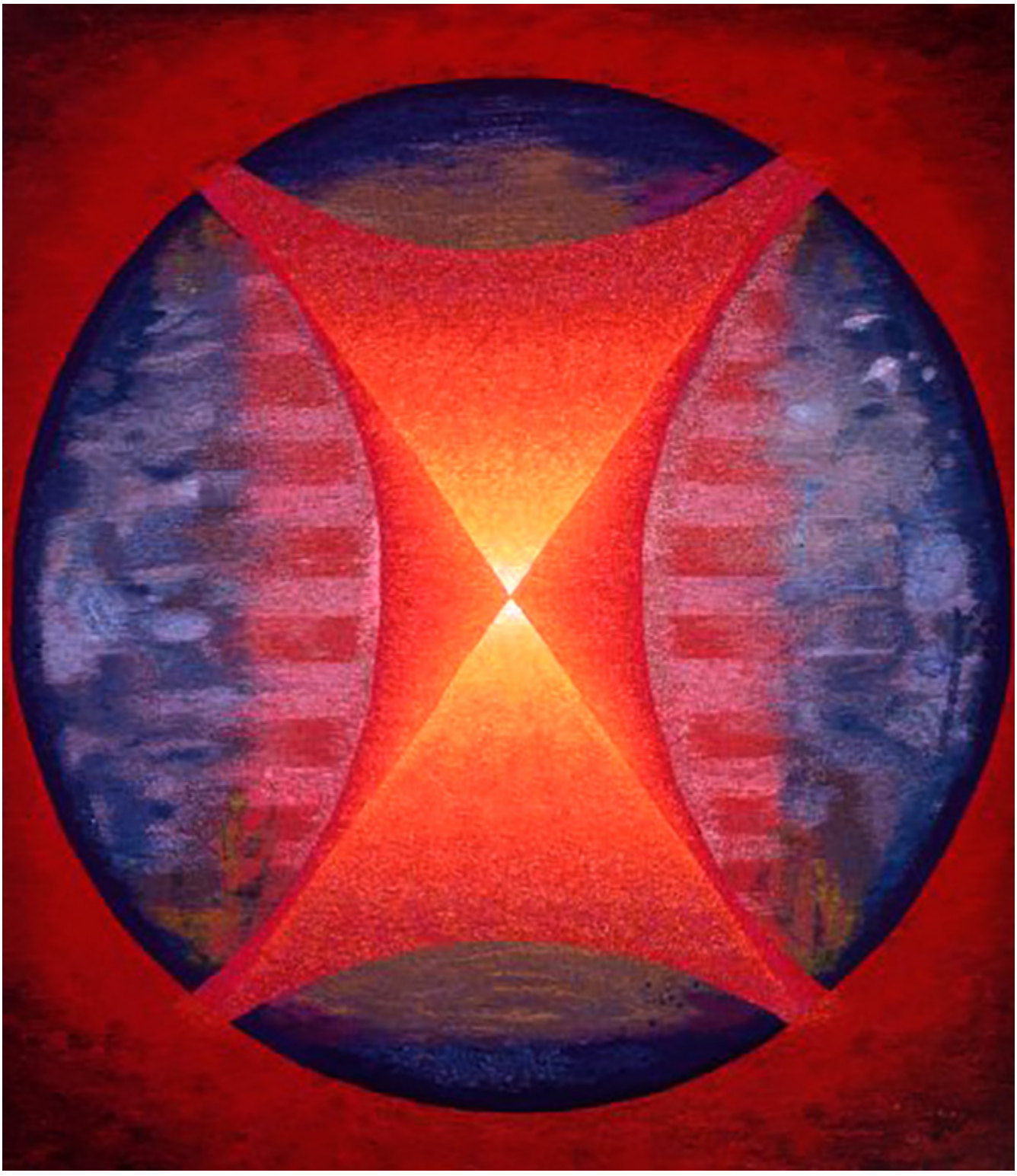
Od początku lat 60. XX wieku polska tkanina artystyczna przeżywała rozkwit, który był efektem kilku czynników. Wpłynęła nie niego długa tradycja tkaniny dekoracyjnej w Polsce, fakt, że wojnę przeżyło kilku przedwojennych mistrzów tkaniny, którzy kontynuowali swoją twórczość, jak również zajęli się kształceniem młodego pokolenia: **Lucjan Kintopf**, **Helena i Stefan Gałkowscy**, **Helena Bukowska-Szlekys**, **Maria Łaszkiewicz**, **Eleonora Plutyńska**, **Anna Śledziewska**. Trzecim elementem była prawdziwa eksplozja talentów wśród młodych artystów i zainteresowanie tą dziedziną rękodzieła. Wieloletnie sukcesy i międzynarodowe laury polskich twórców tkaniny artystycznej pozwalają użyć terminu Polska Szkoła Tkaniny, tak, jak funkcjonuje termin: Polska Szkoła Plakatu. Grupa polskich tkaczy zauważona została w 1962 roku na pierwszym Biennale Tkaniny Artystycznej w Lozannie, na którym Polskę reprezentowali: **Magdalena Abakanowicz**, **Helena i Stefan Gałkowscy**, **Wojciech Sadley**, **Maria Łaszkiewicz**, **Jolanta Owidzka**. Krytyk szwajcarski napisał: „polskie tkaniny artystyczne sięgają granic niemożliwości”. W Lozannie okazało się, że Polska, obok Francji, posiada najwięcej artystów, którzy mają wiele do powiedzenia w tej dziedzinie sztuki. Polska szkoła tkaniny unikatowej polegała na użyciu przez tkaczy grubej, nierówno przędzonej wełny i owczego runa, bawełnianych sznurków, skóry, drewna, co przezwyciężało estetykę gładkiej tkaniny w stylu francuskiego gobelinu. Dzięki nowym poszukiwaniom artystycznym, tkanina uwolniła się od statusu

służebności, utylitarności, przestając być jedynie dodatkiem do wnętrza, jako kilim, sumak, makata czy dywan, a stała się samoistnym obiektem artystycznym: monumentalnym gobelinem, tkaniną reliefową, rzeźbą tkacką, czy instalacją. Artyści zaczęli pojmować tkaninę jako środek wyrazu integrujący cechy malarskie i rzeźbiarskie, posiadający przez to niezastąpiony walor naturalnej strukturalności. Zawiłe losy historii świata i ludzkiego życia spowodowały, że w Kanadzie znalazła się grupa polskich artystek gobelinistek, która przyczyniła się znacząco do rozwoju tkaniny kanadyjskiej, dotychczas uznawanej za rzemiosło.



Krystyna Sadowska na tle swojego gobelinu „Muzykanci”, 1960 r., fot. arch. Stefana Siwińskiego/

Od 1949 roku mieszkała w Kanadzie **Krystyna Sadowska**, która reprezentowała Kanadę na pierwszym Biennale Tkaniny w Lozannie, ale gobelin jej zatytułowany „The Musicians”, dowodził najlepszych tradycji polskiej szkoły gobelinu. Gobelin Sadowskiej wybrany został na okładkę publikacji podsumowującej biennale, albumu „Great Tapestries” Edita S.A. Lausanne. Sadowska studiowała w latach 30. tkactwo u Eleonory Plutyńskiej i Lucjana Kintopfa w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, odniosła sukces na światowej wystawie w Paryżu w 1937 roku – gobelin jej nagrodzony został złotym medalem. W Kanadzie Krystyna Sadowska, artystka wszechstronna, oprócz sztuki gobelinu zajmowała się rzeźbą, ceramiką, rysunkiem, malarstwem. Dzieła Sadowskiej, cenione za łączenie symboliki przeszłości, rodem ze starożytnej Grecji i Rzymu, z nowoczesną formą, znajdują się w kolekcjach muzealnych i w galeriach, zdobią parki, stacje metra, przestrzenie publiczne w całej Kanadzie. Nimfy, satyry, muzykujące grupy fantazyjnych postaci z bajkowego świata mitów i baśni, zdobią ceramikę, tkaniny, rysunki artystki czyniąc jej sztukę jasną i radosną. Krystyna Sadowska, przedstawicielka artystów fali wojennej w Kanadzie, przyczyniła się do rozwoju wielu dziedzin sztuki kanadyjskiej, w tym tkaniny, dołączając ją do dziedzin uznanych za sztuki piękne- malarstwa, rzeźby, grafiki. Artystka zmarła w 1994 roku.



Tamara Jaworska, Squaring the circle.

Tamara Jaworska przyjechała do Kanady w 1969 roku. Uczennica profesora Kintopfa, nie uczestniczyła w Biennale w

Lozannie, ale znana już była dzięki sukcesowi na XI mediolańskim Triennale Tkaniny, w 1957 roku, gdzie jej tkanina dekoracyjna nagrodzona została złotym medalem oraz znakomicie przyjęta została wystawa jej tkanin w moskiewskim Muzeum im. Puszkina, w 1966 roku. Dość szybko udało jej się powrócić, po szoku emigracji 1968 roku, do znakomicie rozwijającej się w Polsce kariery gobelinistki form monumentalnych. Prace Jaworskiej, cenione w całym świecie, nieprzypadkowo nazwane zostały „malowanymi tkaninami". Artystka znakomicie łączyła inspiracje formami natury, krajobrazem, z emocjonalnością odczuć i wibrującą fantazją, co złożyło się na wielki walor jej sztuki. Pierwszym zamówieniem był gobelin „Unity of Canada" (7m.x 11m.), drugim zamówienie na cztery monumentalne gobeliny „Quartet Modern" do hallu wieżowca First Canadian Place w centrum Toronto (5m.x 3m). Gobeliny Jaworskiej zawisły w First Canadian Place obok gobelinów dwóch innych polskich artystek, które, podobnie jak Jaworska, znalazły się w Kanadzie na emigracji: Maria Ciechomska i Zofia Długopolska. Jaworska, po długim i twórczym życiu, pełnym sukcesów, radości, ale i momentów trudnych, zmarła w 2015 roku.

Maria Ciechomska wyemigrowała do Kanady w 1973 roku i zamieszkała w Toronto. O ile w Polsce artystka realizowała się głównie w malarstwie sztalugowym i monumentalnym, to w Kanadzie znana była jako gobelinistka. Tkaniny Ciechomskiej

pełne są metaforycznych refleksji, dominuje w nich intensywna kolorystyka, rytm i silna ekspresja, tematem zaś bywają sceny historyczne, jeźdźcy, portrety. Oprócz First Canadian Place, który dekoruje gobelin „Untitled”, prace artystki zawisły w Metro Toronto Convention Centre. Prace artystki znajdują się w wielu instytucjach i kolekcjach prywatnych w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, w Polsce, Niemczech, Izraelu, Francji i Szwajcarii. Artystka zmarła w 2008 roku, pod koniec życia rzadko udzielając się artystycznie, stąd została zapomniana i trudno jest dotrzeć do jej prac.

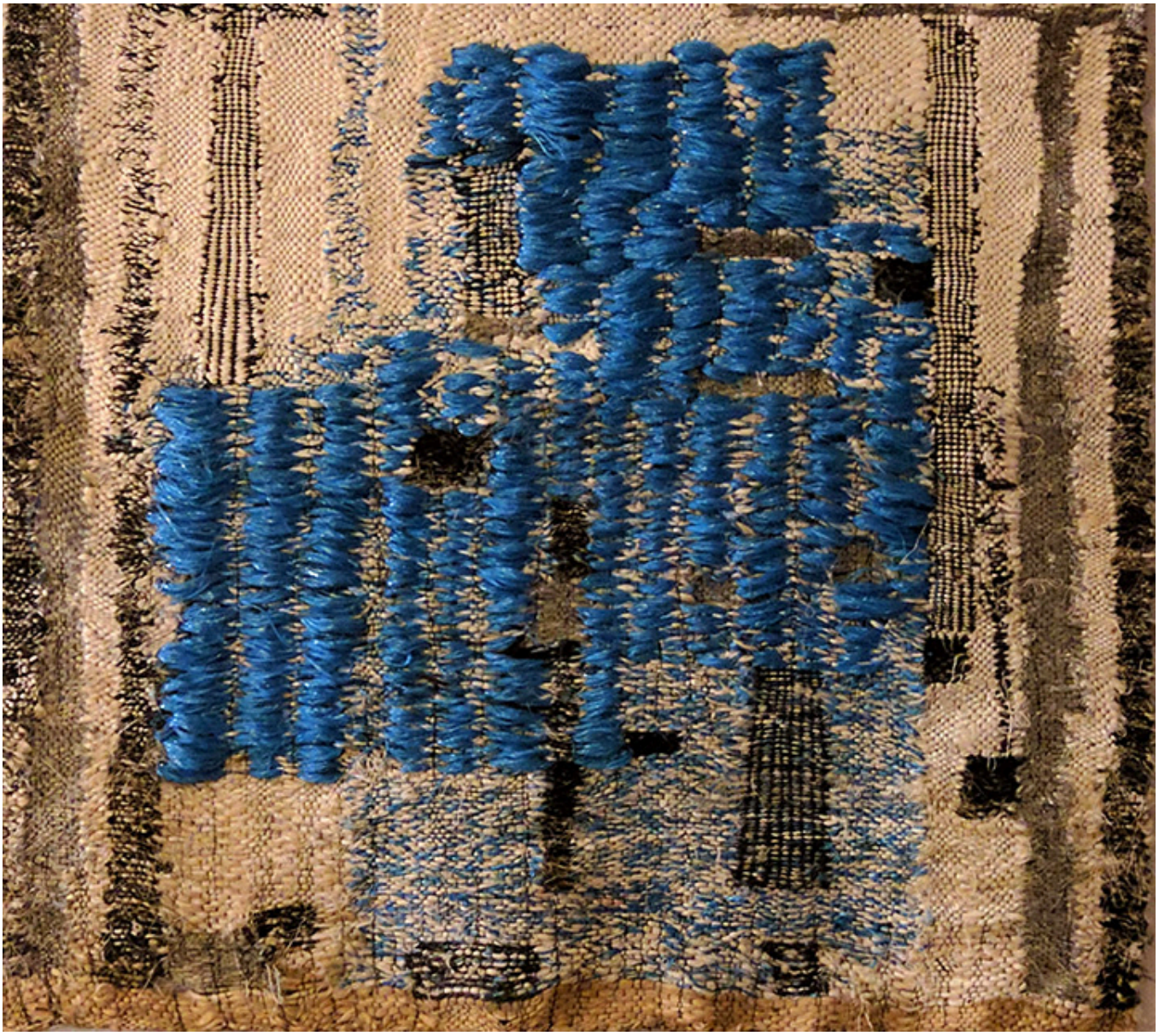
Zofia Długopolska przebywała w Kanadzie w latach 70. Była trzecią gobelinistką poproszoną o ozdobienie First Canadian Place swoją pracą. Artystka wykonała gobelin „Infinity”. Wymieniona jest przy okazji kilku wystaw artystów polskich w Toronto, ale prawdopodobnie wyjechała do Stanów Zjednoczonych lub wróciła do kraju.



Jolanta Owidzka „Zgiełk czasu”,

Jolanta Owidzka to wybitna przedstawicielka polskiej szkoły tkactwa artystycznego. Od początku lat 50. działała intensywnie rozwijając własną twórczość, uczestnicząc w prestiżowych wystawach polskich i międzynarodowych, pracując w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, gdzie projektowała tkaniny dla Cepelii i Desy. W wielu źródłach wspomina się, że to właśnie Owidzka, wspólnie z Magdaleną Abakanowicz, rozpoczęła słynną na świecie polską szkołę tkaniny przestrzennej. Artystka wyjechała z kraju zaproszona na wykłady. Pracowała na uczelniach w Holandii i Stanach Zjednoczonych. Przez kilka lat mieszkała w Kanadzie, gdzie dwa gobeliny jej autorstwa wzbogaciły w 1967 roku zbiory National Arts Centre w Ottawie.

Artystka mieszka i tworzy w Polsce.



Jolanta Owidzka „Obecność błękitu”.



Jolanta Owidzka „Życie po życiu”.

Joanna Staniszkis zajmuje odrębne miejsce w grupie polskich tkaczek w Kanadzie, gdyż wyjechała z Polski w 1964 roku, tuż po studiach, i kontynuowała edukację w Art Institute of Chicago oraz studiowała prekolumbijską sztukę i tkaninę w Peru na uniwersytecie w Limie. Pozwoliło to Staniszkis kroczyć osobną, indywidualną, bardzo oryginalną drogą artystki-tkaczki i projektantki materiałów, korzystającej z polskich, uzbeckich,

chińskich, peruwiańskich tradycji tkackich. Przez 30 lat artystka uczyła na University of British Columbia oraz rozwijała karierę w dziedzinie tkaniny unikatowej, za co została w pełni doceniona i wyróżniona na świecie. Artystka tworzy gobeliny przestrzenne inspirowane naturą, kolorystyką ziemi, kształtami roślinnymi, jak również wzorami ludowymi różnych narodów świata. Lubi eksperymentować z miękką, dwuwymiarową płaszczyzną tkanin, konstruując raczej niż tkając, tworząc zarówno ogromne, jak i niewielkie prace. W 1981 roku artystka odebrała nagrodę Saidye Bronfman za doskonałość wykonawstwa w sztuce. Nagroda wiąże się z przejęciem prac do stałej kolekcji Canadian Museum of Civilisation w Ottawie. Joanna Staniszkis jest członkiem Royal Canadian Academy of Arts, otrzymała medal na 125-lecie Konfederacji Kanadyjskiej i jubileuszowy Złoty Medal Królowej Elżbiety II.

W gronie polskich gobelinistek tworzących w Kanadzie znajduje się także **Genowefa Staroń**, artystka kojarząca się przede wszystkim z rzeźbą, ale wszechstronny jej talent rozwinął się także w dziedzinie malarstwa, grafiki i tkaniny. W 1984 roku gobelin artystki „Modlitwa Ziemi” wręczony został papieżowi Janowi Pawłowi II. Artystka zmarła w 2014 roku.

Pomimo, że polskie artystki odniosły sukces w Kanadzie, realizując wiele prestiżowych zamówień, podnosząc gobelin, uważany dotąd za wyrób rzemieślniczy, do rangi sztuki, nie ma

ich prac w zbiorach muzealnych Kanady (oprócz prac Joanny Staniszkis). A przecież tylko muzeum jest w stanie zachować tkaniny dla potomności, gdy tymczasem instytucje zmieniają miejsca, odsprzedają budynki i wtedy zdobiące je tkaniny trafiają do magazynów lub ślad po nich zanika. Zdając sobie z tego sprawę, Tamara Jaworska przekazała 17 swoich gobelinów Muzeum Narodowemu w Gdańsku.

Cytując słowa Le Corbusiera: „Z działalności człowieka pozostaje nie to, co jest użyteczne, lecz to, co pobudza umysły i wywołuje wzruszenia", w pełni można odnieść do polskich artystek sztuki gobelinu, które siłą swego talentu i wyobraźni, ożywiły płaską tkaninę czyniąc ją „ciepłym obrazem" czy też „miękką rzeźbą", tworzącą atmosferę, nadającą miejscu rangę i zachwycającą pięknem dzieła sztuki.

_____

Krystyna Sadowska:

https://www.cultureave.com/artystka-wszechstronna-krystyna-sadowska-1912-2000/

https://www.cultureave.com/pani-krysia/

Tamara Jaworska:

https://www.cultureave.com/w-magicznym-swiecie-gobelinow/7

Czyżby zmierzch redaktorów?



Florian Śmieja, Jan Kaszuba, Wojciech Krajewski, Adam Bromke, Benedykt Heydenkorn, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauaga, Kanada)*

Panie Redaktorze, pyta Pan mnie, jak to było dawniej sugerując, że ja pamiętam jeszcze, co się działo w ciągu ostatniego półwiecza w prasie polskojęzycznej na Zachodzie. Nie wiem, jak jest z tą pamięcią i czy dużo pamiętać to dobrze. Owszem, w latach czterdziestych zacząłem czytać prasę codzienną i czasopisma w Anglii. Prasa ta miała twarde życie, skoro „Dziennik Polski" ukazuje się w Londynie po dzień dzisiejszy. Widać, że ta prasa miała wiernych czytelników i że była pisana przez ludzi ideowych znających także swój fach. Zresztą sam

również brałem aktywny udział redagując, względnie współpracując, przez dziesięć lat z trzema pismami młodych w Londynie. (Odsyłam do trzech książek, które dotychczas ukazały się w Polsce na ten temat. A zanosi się na więcej).

Kiedy w roku 1969 przeniosłem się z Anglii do Kanady, nadal abonowałem znakomity tygodnik londyński „Wiadomości" oraz miesięcznik paryski „Kultura" aż do ich zamknięcia. Natomiast moją prasą codzienną stały się rywalizujące z sobą na terenie Ontario tygodniki (w pewnym momencie jeden z nich stał się pół tygodnikiem) „Głos Polski´ i „Związkowiec". Oba pisma, czy raczej ich cienie, z czasem zamilkły, a kiedyś miały nakłady sięgające tysięcy egzemplarzy, które wówczas się sprzedawały i słały poza granice Kanady. Jaka jest sytuacja obecnie?

Minęły już lata od śmierci w Toronto Benedykta Heydenkorna (1906-1999), wybitnego dziennikarza i wieloletniego redaktora „Głosu Polskiego", a później „Związkowca". Żył mężnie wśród kanadyjskiej Polonii, choć sam z niej nie był, przyjechał bowiem z emigracji niepodległościowej. Przeszedł przez Związek Sowiecki, a potem z II Korpusem gen. Władysława Andersa był we Włoszech i został zdemobilizowany w Anglii. Staż swój w Kanadzie zaczął od kontraktowej pracy fizycznej, ale z czasem stał się korespondentem prasowym (niepłatnym), aż wreszcie współpracownikiem i kierownikiem pism.

Praca w dziennikarstwie była pół wieku temu bardziej honorowa niż intratna. Płace były skromniutkie, żadnych przywilejów, libacji w konsulacie czy darmowych biletów LOT-u. Były to czasy ascezy i wolontariuszy, za to robiło się dużo, bo dla sprawy. Ludzie emigracji żołnierskiej marzyli o powrocie do Polski, nie imponował im Zachód, rzadko który robił karierę. Mniej z pewnością było sporów o pieniądze publiczne, gdyż ich nie było lub były zbyt skromne. Kasa Pożyczkowa dopiero co się wykluła. Z czasem jednak zapał społeczników począł stygnąć, szczególnie, gdy zaczęła odchodzić starszyzna.

Nie panowała bynajmniej wyłącznie sielanka. Jak to wśród krewkich Polaków, wybuchały scysje, zatargi i pomówienia zazdrośników oraz zawiedzionych karierowiczów, blagierów wszelkiej maści, których na emigracji nigdy nie brak, a którym Heydenkorn nie schlebiał i polityków, którym bębenka nie chciał podbijać. Cieszył się za to zaufaniem współpracowników, wdzięcznością czytelników i wielu członków Polonii, którym gratisowo radził i pomagał. Bo redaktor był kiedyś instancją poważaną, człowiekiem zaufania, który stał ponad partiami i prywatą, osobą nieprzekupną i niezawisłą. Był nieomal moralną wyrocznią.

Jego wyraźny głos znajdował posłuch. Czy kiedy domagał się zwrotu skarbów wawelskich przechowywanych w Kanadzie, czy kwestował na chleb dla Polski, był osobowością, z którą się

liczono. Respektowały go także władze kanadyjskie. Od samego początku działalności w Kanadzie opowiadał się za zapisywaniem się Polaków do kanadyjskich partii politycznych i do odgrywania roli w życiu kraju zamieszkania, kiedy nie było to dobrze widziane, a nawet ostro krytykowane.

Animacja polskiego życia kulturalnego w wydaniu Heydenkorna nic nie miała wspólnego z pragmatycznym, czy wręcz interesownym podejściem chytrych i obrotnych aktywistów, którzy się zaczęli pojawiać później. Redaktor wiele rozumiał. No, może dziwił się nieco, że uciekinierzy spod komunizmu tak chętnie zaczęli natychmiast jeździć na Kubę nie martwiąc się o tamtejszą ludność nadal trzymaną w ryzach totalitaryzmu. Cechowała go tolerancyjność i chęć pomagania. Zachęcał i zagrzewał zainteresowanych i radził, podsuwał materiały i wprowadzał do zagadnień i tematów mało dbając o własne imię, a tym bardziej kiesę.

Dziś, gdy przeglądamy stosy wywiadów robionych ostatnimi laty z jednodniowymi fenomenami polskiego życia w Kanadzie, zauważymy, że wśród nich brakuje prezentacji Heydenkorna. Wszystkie płotki są w komplecie, brak dużej ryby. To już wina tuzinkowych ludzi, którzy dosiedli zbyt wysokich dla siebie foteli. Rozeznanie mieli kiepskie i krótkowzroczne. Heydenkorn nie wypinał piersi do orderów i wyróżnień, za to był natchnieniem i dobrym duchem wielu poważnych historyków, socjologów i

dziennikarzy, którzy idąc jego śladami studiowali polską diasporę w Kanadzie i napisali o niej wiele istotnych studiów i monografii.

Pamiętam, jak się jedynie łagodnie uśmiechnął, kiedy w „Związkowcu" zaczęła pracować młoda pani przyjezdna z Polski i oświadczyła z tupetem, że była pierwszą dziennikarką z prawdziwego zdarzenia na terenie Kanady. Już o niej zapomniano. Redaktor do końca interesował się fluktuacją polskiej diaspory, sumiennie notował inność kolejnych fal polskich imigrantów przezywanych raz 'mormonami' raz 'sylwestrowo-kabaretowymi', uznając spokojnie, że zmieniają się ludzie i ich ideały a także potrzeby. Mówił do końca o konieczności szybkich przemian struktur polonijnych.

Jakie mogą być moje refleksje Anno Domini 2019? Odeszli od nas wielcy redaktorzy, którzy na Zachodzie pokazali wysoką klasę człowieczeństwa i fachowości, myślę przede wszystkim o Mieczysławie Grydzewskim czy Jerzym Giedroyciu, ale także o wyżej wymienionym Benedykcie Heydenkornie. I po nich zaległa pustka. Może po prostu w dziennikarstwie nie ma już zapotrzebowania na jednostki nieprzeciętne w erze szarego człowieka, który osobowości ośmieszył i oszkalował, bo nie potrafił im dorównać? Na wielkich spędach i przy szumie nowych gwiazdorów i ulubieńców ludzie płynący nie z prądem musieli przegrać? Nie pasowali do warchołów i konsumentów dóbr, do pogrążających w niesławie dobre imię, na które inni ciężko

pracowali przez wiele lat.

Zastanawiałem się onegdaj nad listą ewentualnych solidnych firm, rodaków spolegliwych, na których można polegać. Pomyślałem o jednym takim, co przyleciał do mnie jak po ogień, bo chciał robić pilny wywiad. Zabrał kupę fotografii i nie potrafię tych fotografii odzyskać. Z wywiadu oczywiście, nici. Inny ma moją taśmę i książki i również nie umiem ich odebrać. A niech was z taką solidnością! To chyba wiele mówi o stanie sprawy.

Potem na całym świecie nastąpiło załamanie sie prasy. W miejsce dawnych ambitnych publikacji powstało wiele nowych pism. Teraz, darmowe, walają się wszędzie, ale nie ma wśród nich takiego, którego lektura byłaby konieczna. Nie widać też rzetelnych, słownych redaktorów budzących powszechne zaufanie, bo ustawicznie uwikłani są w połajanki i kłótnie, a równocześnie pretendują do reprezentowania czegoś i kogoś, a jako tacy wirtualni przedstawiciele latają do kraju chcąc za wszelką cenę pozostać uprzywilejowanymi pupilkami za granicą.

Nowa sytuacja pozbawiła nas głosu. Można i tak żyć. W Polsce nasi ziomkowie zafundowali sobie cezaropapizm. Co nam przyniesie jutro?

_____

O Benedykcie Heydenkornie:

https://www.cultureave.com/wspominajac-wybitnego-redaktora/

Dla Powstańców Warszawy



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

O spektaklu „W hołdzie Powstańcom Warszawy”, którego premiera miała miejsce 15.10.2004 roku w Toronto. Fragment książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”, wyd. Novae Res 2016 r.

Warszawa 1944 r. Mieszkający na Saskiej Kępie siedemnastoletni Jurek Pilitowski, zostaje zmobilizowany. Udaje się na punkt zborny, gdzie dostaje przydział do zgrupowania Golski, III Baon Pancerny, Pluton 155. Od tej chwili jest żołnierzem. Godzina „W” zastaje go na rogu ulicy Wilczej i Emilii

Plater. Walczy w rejonie Politechniki. Broni każdego domu, każdego podwórka. Przetrwał Powstanie, dzięki fachowej kadrze oficerskiej swojego zgrupowania i braku nieprzemyślanych akcji. Tak twierdzi.

Jerzy Pilitowski niechętnie mówił o Powstaniu, trudno było z niego wyciągnąć obszerną relację. Na każde pytanie odpowiadał krótko i lakonicznie. Uważał się za jednego z wielu. – To nie jest żadne bohaterstwo, tylko normalna sprawa. – mówił. – Nikomu do głowy nie przyszło, żeby w takiej chwili nie chwycić za broń i nie iść walczyć za Ojczyznę.

Takie było wychowanie tego pokolenia. W jego domu panowała atmosfera konspiracji, rodzice działali m.in. w organizacji „Żegota", która pomagała Żydom, a on sam, jako młody chłopiec, nie raz służył za gońca, czy brał udział w innych akcjach. Nic więc dziwnego, że bez pytania rodziców, jako 15-to latek wstąpił do Szarych Szeregów. Uważał, że tak trzeba zrobić.

Właśnie tym wszystkim „jednym z wielu" młodym i starszym bohaterom, tym którzy przetrwali i tym którzy nie przeżyli, dedykowany był spektakl.

> W CNN znów idzie film o Powstaniu. – odnotował Jerzy Pilitowski w swoim „Dzienniku". – Nareszcie trochę

> Amerykanów czegoś się dowie. I może trochę Kanadyjczyków przy okazji. A w Kanadzie nadal nie uznaje się powstańców za kombatantów (chociaż i Hitler w końcu respektował naszą przynależność do alianckiej koalicji).
>
> (13 czerwca 2004)

Przeżywał, jeśli ktokolwiek nie uznał Powstańców za regularne wojsko. To dodatkowy aspekt kanadyjskiej premiery przedstawienia „W hołdzie Powstańcom Warszawy”[1].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Bernardetta Wróbel.

Przez pożary i dymy,

Od Woli aż po Mokotów,
Brzmi nasze hasło: „Walczymy!”
I dumny nasz odzew: „Gotów!”

Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemiężyć.
Śmierć? Nieważne!
Życie? Nieważne!
Ważne – zwyciężyć!**[2]**

Ten wiersz stał się mottem i myślą przewodnią pierwszej części spektaklu. Chłopcy i dziewczęta idą do powstania z nadzieją na zwycięstwo. My nie potrzebujemy lamentu, mówią młodzi powstańcy, my potrzebujemy, broni, amunicji, my tu walczymy, a nie umieramy. Na plan pierwszy wysuwają się aktorzy – Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski. Różnią się strojem i rolą. Jest dowódca, w czarnej skórzanej kurtce, starszy wiekiem, pewny i niezłomny, jest oficer w mundurze, jest powstaniec w kurtce moro. Oni pełnią rolę wiodącą. Mówią o ważności zadania, o tym, że należy walczyć i się nie poddać. Emanuje z nich siła, zarażają nią młodych. Młodzież jest ufna, poddaje się bez żadnego *ale*…."życie – nieważne, śmierć – nieważne, ważne – zwyciężyć". W scenicznym obozie jest radośnie. Cudowne są dzieci powstańcze. Mateusz Bobel w hełmie spadającym mu na czoło, z pełną finezją, gracją i z aktorskim wyczuciem śpiewa piosenkę M. Jezierskiego o sanitariuszce Małgorzatce. Znane melodie wzruszają, publiczność co chwilę bije brawo. My zwyciężymy, Warszawa walczy.

Druga część to klęska powstania. Dziecko zapowiada swoją śmierć, matka rozpacza. Chłopiec – sierota wzruszająco mówi wiersz o tym, że z głodu wypalił peta. Mama by go skrzyczała, ale on nie ma mamy, sam jest na świecie. Niezłomny wcześnuiej dowódca, twardy i hardy – jednak załamuje się. Ginie łączniczka Zosieńka. Nic o niej nie wiadomo, skąd przyszła i gdzie zginęła.

Śpiewała wszystkim wesołe piosenki, niosła radość i wiarę, ale już nie śpiewa. Nie ma Zosieńki. Jak tysiące innych dziewcząt i chłopców, harcerek, sanitariuszek. Nie ma ich. Z tych zgliszcz, bólu i rozpaczy, wyłania się jednak nadzieja. Małgorzata Maye śpiewa piosenkę z repertuaru Mieczysława Foga „Piosenka o mojej Warszawie". Jaka będzie ta Warszawa, jaka będzie Polska. Kobieta przygarnia bezdomne dziecko, powstańcy odszukują się w zgliszczach, zbierają moce do odbudowania Warszawy. Z ludzi, którzy ocaleli, powstaje pomnik Warszawy niczym warszawska Nike. Pieśń „Jeno zdejmij mi z tych oczu, szkło bolesne…." do słów K.K. Baczyńskiego, otacza ich ramionami (Małgorzata Maye). Dźwięczy w uszach i kończy spektakl……nadzieją.

Maria Nowotarska:

Bardzo mi zależało, aby w naszym spektaklu była nadzieja. Dlatego oprócz poezji, która w powstaniu stała się zapisem chwili, mocną, prawdziwą relacją z tamtych dni, niesłychanie poruszających wierszy poetów-uczestników powstania – Baczyńskiego, Makuszyńskiego. Wierzyńskiego, dołożyłam, co jest zabiegiem dość szczególnym – poezję Wyspiańskiego. Dlaczego? Ze względu na bliską mu tradycję powstania listopadowego, tak znakomicie udokumentowaną przez niego, szczególnie w „Nocy listopadowej" i „Wyzwoleniu". Te utwory i

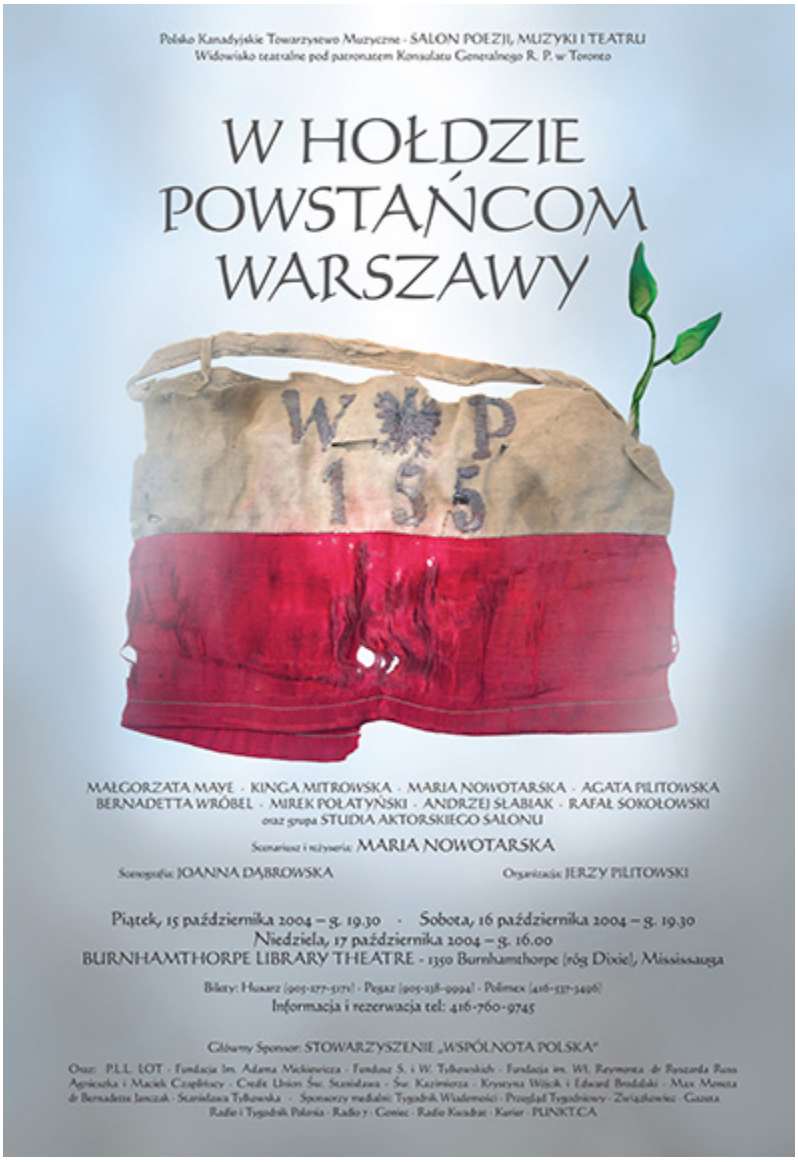
jego poezja to przecież wyraz czystego pragnienia wolności. A nasze pokolenie wychowane jest na tej materii i w tym duchu – w marzeniu o Polsce odrodzonej. Jak mówi Kora w „Nocy listopadowej”, posiane raz ziarno – krew, da w końcu z siebie nowe życie, które z niego wyrośnie[3].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Andrzej Słabiak, z rękami podniesonymi w górę Margaret Maye.

Po klęsce Powstania i zburzeniu Warszawy, ze zgliszcz rodzi się nadzieja. Rafał Sokołowski – jako młody żołnierz mówi słowami modlitwy Konrada z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego.

Chcę, żeby w letni dzień,
w upalny letni dzień
przede mną zżęto żytni łan,
dzwoniących sierpów słyszeć szmer
i świerszczów szept, i szum,
i żeby w oczach mych
koszono kąkol w snopie zbóż.



Projekt plakatu Joanna Dąbrowska.

Nadzieję widać też w plakacie projektu Joanny Dąbrowskiej, którego głównym elementem jest biało-czerwona powstańcza opaska. Wyrasta z niej zielona gałązka.

Maria Nowotarska:

Jest to opaska mojego męża Jerzego Pilitowskiego. Ocalił ją i zachował przez wiele trudnych chwil – miał ją ze sobą w niewoli,

potem kiedy walczył w armii Andersa, a później przemycał ją w bucie do Polski. Teraz jest z nami w Kanadzie.

***

W inscenizacji niezwykłą rolę odegrała malarskość przekazu. Wiele scen przypominało obrazy. Postacie zatrzymywały się w bezruchu, na kształt posągu, pomnika. Np. grupa dziewcząt zastyga nieruchomo z lewej strony sceny, niczym starożytne rzeźby, a z prawej strony, w białej sukni Kinga Mitrowska elektryzuje swoim niebywałym głosem.

Symboliczna, wymowna i oszczędna scenografia grała swoją rolę. W tle polska flaga. Czerwona jej połowa spoczywała na ziemi, jako symbol przelanej krwi, a biała część, jako nadzieja wznosiła się w niebo. Przeważała wojskowa kolorystyka khaki, w kształcie prosta i symboliczna. Drzewo i krzyż, kawałki dachówki, domu, muru, rzucone bezładnie na scenę, mogły odgrywać różne role – barykady w pierwszej części, schronu, czy piwnicy w drugiej części. Dramatyzmu dodawały przenikające scenę fragmenty dokumentalnych kronik powstańczych.

To przedstawienie wzbudziło bardzo wiele emocji. Na widowni siedzieli zarówno dawni uczestnicy Powstania, jak i młodzież z pokolenia ich wnuków. I jedni, i drudzy po spektaklu mieli w oczach łzy wzruszenia. Na korytarzu słyszało się wspomnienia

sprzed lat, autentyczne historie opowiadane przez ludzi stamtąd – z Warszawy czasów wojny.

Gdy ze sceny padły słowa, że przedstawienie dedykowane jest nie tylko poległym, ale i tym żywym, którzy są wśród nas, na widowni zapanowała cisza, a potem lawiną posypały się brawa. Ile strun zostało poruszonych, gdy dawni młodzi bohaterowie usłyszeli te same piosenki śpiewane przez młodzież w harcerskich mundurach, gdy poczuli, że o nich się nadal pamięta, gdy zobaczyli, że na scenie z gruzów rodzi się nadzieja, a po umarłych pozostał duch.

A młodzi? Podziwiali dziadków i babcie, a może im trochę i zazdrościli. W każdym razie była to dla nich lekcja patriotyzmu i historii. Spektakl ten połączył pokolenia.



Projekt scenografii Joanna Dąbrowska, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.

---

[1] *W hołdzie Powstańcom Warszawy. Scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska. Występują: Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Bernardetta Wróbel, Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski oraz grupy Studia Aktorskiego Salonu „SAS" i „SAS" – junior. Scenografia: Joanna Dąbrowska. Organizacja: Jerzy Pilitowski. Prapremiera: 15 października 2004, Burnhamthorpe Library Theatre, Mississauga.*

[2] *Wiersz drukowany w piśmie „Barykada Powiśla”, nr 24 z 30 sierpnia 1944 r., gdzie był oznaczony inicjałami „J.B.” (Jan Brzechwa)*

[3] *Na podst.: Małgorzata Bonikowska, Powstańczy fresk – dokument chwili, „Gazeta” Toronto, 190, 1-3 października 2004 r.*



Inne fragmenty książki:

https://www.cultureave.com/tamara-l-sztuka-kazimierza-brauna/

https://www.cultureave.com/opowiesci-poli-negri/

http://www.cultureave.com/teatr-spelnionych-nadziei--opowiesc-o-polskim-teatrze-w-toronto/
http://www.cultureave.com/klan-pilitowskich/
http://www.cultureave.com/dobry-wieczor-monsieur-chopin/
http://www.cultureave.com/basniowy-galczynski/

Podróże i spotkania z czytelnikami:
http://www.cultureave.com/teatr-spelnionych-nadziei--podroze-i-spotkania-z-czytelnikami/

Wywiad Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Joanną Sokołowską-Gwizdka:
http://www.cultureave.com/joanna-sokolowska-gwizdka--laureatka-zlotej-sowy-polonii/

Książka jest dostępna w księgarniach stacjonarnych i internetowych w Polsce, a także na Amazon:
https://www.amazon.com/gp/offer-listing/8380832779/ref=-tmm_hrd_new_olp_sr?ie=UTF8&-

condition=new&qid=1512162735&sr=1-1